

Dekameron 2020: laureaci (4): "Czwarta z sióstr Brontë"

Czwarta z sióstr Brontë
Patrycja Pelica

Cisza, jaka panuje od powrotu Julki, wydaje się tak nienaturalna w mieszkaniu pełnym zwykle śmiechu, kakofonii dźwięków, melodii czy choćby szeptów, że trudno ją znieść. To niedobry rodzaj ciszy, pełnej niedomówień i ukrytych teorii. Pytanie wisi między nami jak stalowo-czarne chmury, który tego popołudnia szczelnie zasłoniły niebo, im dłużej przemilczane, tym cięższe. Julka zdejmując maskę, ściąga rękawiczki i przysiadła na brzegu stołu. W skostniałych palcach obraca filiżankę. Patrzy w gorący napój, którego bursztynowy odcień intensywnieje z każdą sekundą, we własne oczy, odbite w imbirowej herbacie, na białawe kłęby pary, unoszące się powoli jak dym z papierosa. Wszędzie, byle nie na mnie.

— I jak? — pytam wreszcie. To tylko słowa. Słowa, słowa, słowa jak pisał Szekspir. Przecież nie mogę panicznie bać się słów.

— A jak myślisz?

Unosi filiżankę do ust. Pije, choć z grymasu na jej twarzy zgaduję, że herbata parzy. Nigdy nie znosiła gorących napojów. I porażek.

— Są inni wydawcy.

Odstawia filiżankę na spodek, naczynia podzwaniają boleśnie w równie bolesnej ciszy – bo znów jest cicho. Kilka brązowych kropli plami moje dokumenty, ale to nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia poza kolejną porażką Julki, gorzką jak herbata, której nawet nie zdążyła dopić.

— Właściwie co ci powiedzieli?

Przed rokiem zrezygnowała z wysyłania rękopisów do wydawców i czekania na odpowiedź, gdy tkwiła w oczekiwaniu jak Wisielec z tarota. Sama odwiedzała redakcje, nie pozwalając, bym towarzyszył jej w tej małej odysei, z której nie zrezygnowała nawet w dobie pandemii. Zakładała plisowaną spódnicę, choć nienawidziła spódnic, malowała usta koralową szminką, choć nie znosiła się malować. Nawet teraz, kiedy maska zasłoniła jej usta. Stroiła się, jakby to ją mieli oceniać, a nie jej tekst, sumę najlepszych przemyśleń i najtrafniejszych uwag, owoc nieprzespanych nocy i niekończących się dni nad kartką i klawiaturą, z papierosem w zębach i kofeiną we krwi. Zamęczysz się, powtarzałam, całując ją w szyję, na granicy karku i włosów, czy to jest tego warte, pytałam, gdy stos zmiętych stron rósł stożkowato, a tusz do drukarki plamił jej palce.

— Marzę o tym — odpowiadała niezmiennie, jakby był ciekawskim dzieckiem, którego trzeba tłumaczyć oczywiste kwestie: dlaczego słońce wschodzi, deszcz spada z chmur, a święta pachną jodłą i cynamonem. — A marzenia są warte wszystkiego.

To paradoksalne, ale zmęczona, na granicy wyczerpania, wydawała się najszczęśliwsza. W przekrwionych z braku snu oczach lśniły małe isierki, gdy streszczała mi fabułę, rozmieniając treść na rozdziały i akapity.

— Co powiedzieli? — odgarnia włosy z czoła. — To, co zawsze. To się nie sprzeda. Nikt nie będzie tego czytał. A teraz, w dobie pandemii, musieli przesunąć premiery nawet znanych pisarzy. Nikt nie będzie inwestował w debiutantkę.

Siada na dywanie. Podciąga kościste kolana aż pod brodę, kuli się w sobie jak embrion. Jej policzki są mokre, ale nie od deszczu, który właśnie lunął. Słuchamy narastającej kanonady, która miliardem kropli tłucze w miniaturowe okienka naszej kawalerki, aż powieki Julki stają się ciężkie. Widzę, jak je trze, siadam więc bliżej, ramię przy ramieniu.

— Słyszałaś o siostrach Brontë? — pytam, choć to pytanie z kategorii głupich. Każde, nawet niedostrzeżony pisarz musiał słyszeć o trzech dziewczętach z Haworth, które krótkie życie poświęciły pisaniu. — Podpisały rękopisy męskimi imionami, zapakowały w szary papier i wysyłały do kolejnych wydawców. Kiedy jeden je odrzucał, skreślały adres i dopisywały nowy. Ciekawe, ile razy musiały to robić, bo paczka wciąż wracała. Nikt nie chciał ich wydać, nikt nie dawał ich powieściom nawet cienia szansy.

— Dlaczego mi to mówisz? — Julka wybudza się z letargu. Jej zielone, kocie oczy patrzą wprost na mnie. Przydługie rzęsy podwijają się o policzki, paznokcie rytmicznie uderzają o podłogę.

Odpowiedź wydaje się oczywista, ale ona potrzebuje dziś oczywistości.

— Bo boję się, że się poddasz. A one się nie poddały. Aż znalazły wydawcę.

Siostry Brontë z wrzosowisk Yorkshire. Plebania na odludzi, na której mieszkały, teraz bardziej niż przedtem przypominała mi izolatkę, w jakiej z powodu coronawirusa zmieniły się nasze domy i mieszkania. Odcięci od bliskich i przyjaciół, często mieliśmy tylko słowa. Słowa meili, SMSów i postów, rzucanych w wirtualną przestrzeń jak rozpaczliwe wołanie o pomoc, jak sygnał SOS, wyświetlany małą latarkę: nie zostawiaj mnie samego. I one nie miały nic, prócz siebie i słów, nad którymi pracowały w samotności, w zaciszu domu. Trzy siostry Brontë. I ona, moja Julka.

— Co mam robić?

— Pisać. A kiedy to się skończy...

Nie wiemy, kiedy i jak, i ile jeszcze potrwa przymusowe odosobnienie, gdy jesteśmy skazani na siebie na trzydziestu metrach kwadratowych, tak, że nie możemy się nawet minąć, by nie otrzeć się o siebie ramionami, wiemy za to, że nie możemy zmarnować tego czasu, choć to dziwny czas. Że opowieści, które zrodzą się w głowach w przydługie dni, gdy świat walczy z pandemią, skrócą czas oczekiwania na jej koniec. Zajmą myśli. Pozwolą szkolić warsztat. Pozwolą zapomnieć.

— Mówi się o tych, co przeciwnym losom podlegając, przecie, wbrew nadziei, do pomyślnego skutku sprawy swoje przywiedli — mówię szeptem. Przez ostatnie tygodnie nauczyłem się nie podnosić głosu niepotrzebnie, by nie przeszkadzać sąsiadom.

— To sióstr Brontë?

— Nie — uśmiecham się. — To Dekameron. Ale przyznaj, że trafne?

Krople bębnią o parapety coraz mniej regularnie, zagłusza je miejski zgiełk i pisk klaksonów z aut, mijających się na śliskich ulicach. Mokra płyta chodnika lśni iluzorycznie w zielonkawej poświacie latarni, gdy patrzę na nie z wysokości piątego piętra, bo nie pamiętam, kiedy ostatnio wychodziłem. W dłoniach trzymam kubek imbirowej herbaty, para wodna kolistnie unosi się na wysokość moich oczu. Lada moment zaniosę ją Julce, która wciąż nie wstała z podłogi. Z miejsca, gdzie kuliła się jak embrion, tyle, że teraz kuli się nad klawiaturą. Cisza, jaka się między nami ściele, jest zupełnie innym rodzajem ciszy. To przyjazne milczenie dwojga ludzi, którym niepotrzebne są słowa jak wtedy, gdy wędrują razem górskim szlakiem, posyłają sobie uśmiechy z drugiego końca sali, leżą objęci po wspólnej nocy na godzinę przed świtem. W takiej ciszy zawiązują się nici porozumienia, myśli owocuują jak drzewa, a jedyne dźwięki wydają przedmioty martwe.

Resztę kwarantanny Julia spędza na pisaniu. Nocą wyslizguje się z moich ramion, palce biegają po klawiaturze, jakby nie nadążały za myślami. Liczba słów rośnie na ekranie jak insekty, które mnożą się w zatrważającym tempie, wędrują po ekranie jak defilada mrówek. Julia przechyla głowę, kosmyk włosów wymyka się z jej koka, łaskocze w ramię, gdy pisze, znów pisze i ciągle pisze, rzuca pisanie i do niego wraca, potyka się i upada, kocha tworzenie i go nienawidzi, płacze ze szczęścia nad udanym akapitem, to znów z rozpacz, gdy odmawia jej następny wydawca, gładzi klawiaturę jak kocie futro, by znów grozić, że roztrzaska laptopa, szepcze i krzyczy, godzinami tkwi przed monitorem, to znów zarzeka się, że niczego już nie napisze. Patrząc na nią uczę się, że pisanie to nie akt, to długotrwały proces, któremu trzeba poświęcić czas i siebie, droga pod górę i pod wiatr, w oślepiającym świetle i przeraźliwej ciszy, wypełnionej tylko własnymi myślami. To układanie ze zdań historii jak układania się pasjansa z poszczególnych kart. To nieustanne poszukiwanie adekwatnych

słów, trafnych odpowiedzi, właściwych określeń, to doskonalenie się i wzbijanie coraz wyżej. To bieg, którego meta wcale nie jest pewna. To setki odmownych odpowiedzi, skreślonych stron, wykasowanych liter. Może to i popioły, gdy Bułhakow rzucił w ogień pierwszy rękopis Mistrza i Małgorzaty, i lzy, którym siostry Brontë nie pozwalały płynąć przy kolejnej odmowie, i upór, gdy wysyła się tekst pod sąd, pod wciąż nowy adres. I tak mija nam pandemia, jej na pisaniu, mnie na uczeniu się, czym ono jest.

Kolejna wiosna jest nie mniej ulewna, choć bliżej nam do normalności. Julka nie zdążyła uciec przed deszczem. Trzęsie się z zimna w progu kuchni, mokre włosy skręcają się na skroniach w małe sprężynki, a pojedyncze krople spadają z brzegów płaszcza i plisowanej spódnicy. Znów była u wydawcy, choć prosiłem, by nie wychodziła przed deszczem. Mokra maska przykleiła się do warg. Z oczu spłynął tusz, dwie czarne smugi biegną od rzęs od kości podbródka, lecz kiedy zatrzymuję na niej wzrok, wiem, że to nie deszcz i nie ulewa zmyła tusz, zniszczyła perfekcyjny makijaż. Cała się trzęsie, drżą jej dłonie, zarysowane ostro nadgarstki i kolana, drżą usta w kolorze roztartej szminki, drży nawet głos, gdy krzyczy mi do ucha, choć nie potrzebowałem nawet szeptu. Wystarczyło zerknąć jej w oczy, by wiedzieć:

— Znalazłam wydawcę.
